

## Sen o Gogolu

W noc z 2 na 3 lutego tego roku, gdy cała Europa marzła w objęciach siarczystego mrozu, o najbardziej diabelskiej godzinie – drugiej po północy – śnił mi się iście groteskowy tekst stworzony przez Gogola. Aby czytelnik zrozumiał jego sens, powinienem jednak opowiedzieć cały ten sen od początku.

Pojechałem za miasto na ryby. Płynęła tam niewielka rzeczka, nazywała się Wołga. Wpadała do zarośniętego stawu o nazwie Morze Kaspjskie. Woda w rzeczce była czysta, zimna, ciemnobłękitnego koloru. Moim celem było złapanie wielkich, najładniejszych okazów ryb, które zamieszkiwały tę rzekę. I owszem, pływały, duże i okazałe, ale dziwne i straszne – nie ryby wcale, lecz dziwaczne monstra; coś w rodzaju kijanek wielkości rekinów, szaro-białego koloru z okropnymi zębami w pysku. Było ich sporo i musiałem zadowolić się nimi, bo lepszych, mniej strasznych brakowało. Okazały się jednak sprytnie; za nic nie chciały połknąć haczyka, po prostu go omijały i płynęły dalej, do Morza Kaspjskiego.

Długo stałem nad brzegiem tej Wołgi, aż nadeszli moi nieżyjący rodzice i babcia. Nie podobało im się, że stoję i łowię potwory. Wołali mnie, prosząc, bym szedł z nimi do domu na obiad, bo tu zimno, mokro i paskudnie. Byłem na nich zły, bo przeszkadzali mi robić to, na co miałem ochotę. W końcu jednak uległem, ale złość rozsadała mnie od środka. W domu było cicho i ciemno, ponieważ zapadła noc. Babcia chce mnie nakarmić, przygotowuje coś w kuchni. Tymczasem w duszy dojrzewa plan zemsty. Postanowiłem wystraszyć tę zawsze kochającą mnie, dobrą, potulną babcię. Wystraszyć w sposób okrutny: zaraz przyjdzie, przyniesie obiad i wtedy właśnie zrobię jej na złość straszną, diabelską minę. I aby zrobić to tak, by się naprawdę wystraszyła, muszę koniecznie głośno przeczytać to, co Gogol napisał o diable. Tekst ten mam tuż obok, na tekturowej tacy, która leży przede mną na stoliku nocnym. Biorę tacę i czytam:

„Był to nie byle jaki elegant Lucyfer we francuskim kapeluszu z piórem, w kusym surducie, lecz najprawdziwszy olbrzymi diabeł – czarny, kudłaty, o okropnym dzikim pysku...”.

Nie wiadomo skąd, zjawia się żona. Ciągnie tacę z tekstem do siebie; nie chce dopuścić do tej najgorszej, otchłannie piekielnej potworności, to znaczy do tego, bym doczytał do końca i mógł zrobić tę straszną minę. Jestem jednak mocniejszy: wyrywam tacę i doczytuję do końca to coś, co się nie da ani powtórzyć, ani w ogóle wyrazić słowami.

Przez ułamek sekundy myśl odmienna przebiega przez mój umysł: „A przecież żal tej babci...”.

Ale lawina już ruszyła. „A-A-A-A-!!!” – wydieram się co sił i zamieniam twarz w najstrasniejszy w świecie diabelski pysk. Krzywi się pokój, krzywi się cała rzeczywistość. Wystraszony tym wszystkim budzę się... A potem długo nie mogę się uspokoić i zasnąć.

Co oznaczał ten sen? Pomijając wątki osobiste, jego sens można by sprowadzić do narastania poczucia absurdu wskutek uświadomienia sobie niezgodności rzeczywistego stanu rzeczy z idealnym wyobrażeniem o tym, jak być powinno. Miała być potężna rzeka, wielkie morze i cudowne ryby, a zamiast tego było coś w rodzaju Utraty w Pruszkowie, marny staw i potworne kijanki. Sposobem na to mogło się stać przebrnięcie mimo wszystko przez te w sumie niewielkie okropieństwa i dokonanie tego, co zamierzałem zrobić. Przyszli jednak wszyscy najbliżsi, z którymi musiałem się liczyć i nie pozwolili mi postępować zgodnie z moją wolą i zamiarami. Spowodowało to nagły wybuch frustracji, złości; obudziły się moce diabelskie, które drzemią w każdym z nas i które człowiek łagodny i zrównoważony potrafi zagłaskać i uśpić. Umyślona przeze mnie i urzeczywistniona mimo wszystko „straszna zemsta”<sup>1</sup> (aby oni wszyscy raz na zawsze odczyli się psuć mi to, co zaplanowałem!) polegała na chwilowym wcieleniu się w postać szatana.

Najbardziej zastanawiające w tym wszystkim jest jednak to, że głównym i jedynym pomocnikiem w dokonaniu tego okropieństwa okazał się Mikołaj Gogol.

Dlaczego mianowicie?

Próbując odpowiedzieć na to pytanie, zacząłbym od postawienia innego, tym razem retorycznego: kto w całej literaturze rosyjskiej był najbardziej kompetentnym specjalistą od mocy diabelskich? Dostojewski? Bynajmniej. Jego diabeł przybiera postać pseudointelektualisty, drobnomieszczańskiego pozytywisty, który prowokacyjnie podsuwa paskudne idee; idee te rzeczywiście są straszne, ale sam diabeł nie – jest taki zdroworoządkowy, niemiecko-francuski i akurat nosi kusy, mysiego koloru surdut... A może Bułhakow? Owszem, jego diabeł potrafi otruć lub odciąć głowę, ale niech ktoś spróbuje udowodnić, że nie jest sympatyczny – przecież broni normalności, dobra i sprawiedliwości... Któż jeszcze? Fiodor Sołogub? Rzeczywiście, ten błyskotliwy dekadent wierzył, że świat znajduje się w niepodzielnym władaniu szatana i był mistrzem w przedstawianiu mocy diabelskich. Nieprzypadkowo jednak napisał powieść o małym biesie, ukazując ponurą potęgę banału i szarości, która nie przeraża nagle i gwałtownie, lecz truje duszę powoli, wtryskując człowiekowi truciznę zabójczą a słodką...

Gogol również ukazuje diabła w postaci drobnomieszczańskiej (taki jest na przykład Cziczikow) lub „drobnourzędniczej”, rozciągającej słodki jad (Bazmaczkin z noweli *Płaszcz*), ale tylko u Gogola diabeł występuje w postaci pierwotnej, jak najbardziej diabelskiej, bez żadnego kamuflażu. Tylko Gogolowski szatan może nagle wyłonić się z czarnej otchłani, wznieść się kudłatym łbem pod same niebiosa, wyszczerzyć kły i ryknąć na cały świat tak, jak piszący te słowa w opowiedzianym wcześniej złowieszczym śnie: „A-A-A-A-!!!”. Jeżeli żadna z postaci Gogola nie robi tego w sposób dosłowny, to jestem pewien, że tytułowy potwór Wij, tajemniczy Basawriuk z *Nocy świętojańskiej* lub ludobójca-czarodziej z noweli *Straszna zemsta* mogliby tak zrobić.

---

<sup>1</sup> *Straszna zemsta* (1833) – tytuł jednego z najbardziej „gotycko-barokowych” opowiadań Gogola, przesiąkniętego tajemniczością i grozą.

Czesław Miłosz wymienia historię zmagania Gogola z diabłem jako jedno z trzech najważniejszych wielkich „mitycznych zdarzeń” w dziejach literatury rosyjskiej<sup>2</sup>. I ma rację, chociaż historyk literatury zapewne znajdzie więcej podobnych przykładów. Wprawdzie nauczyciele w szkołach zazwyczaj nie opowiadają o takiej „mistyce”, ale każdy wykształcony czytelnik, znający dzieła trzech mistrzów modernizmu – Dymitra Mereżkowskiego, Wasilija Rozanowa i Andrieja Bielego, dokładnie wie, o co tu chodzi. A zresztą każdy bardziej dociekliwy uczeń podstawówki, dowiedziawszy się, że Gogol, cierpiący na straszliwą depresję (pisarz bał się między innymi, że włożą go żywego do trumny), spalił drugi i trzeci tom *Martwych dusz*, a następnie przez dwa tygodnie nic nie jadł i zagłodził się na śmierć, będzie podejrzewać, że osobowość tego pisarza kryje w sobie wielką tajemnicę. Kto zaś ociera się o tajemnicę, ten ociera się o domenę diabła, który nie znosi jasności i stara się być nieuchwytny. Przede wszystkim ów diabeł niejedno ma oblicze i zawsze udaje kogoś innego. Gogol to wiedział i dlatego znajdziemy sporo banału i szarości, ale też niejasności w wykreowanych przez pisarza postaciach literackich, które jego zdaniem otarły się o moce piekielne i zostały zarażone nie demonizmem, lecz prawdziwą diabelską, jak na przykład udający rewizora Chlestakow czy wyżej wspomniany Czi-czikow, pragnący jawić się jako prawdziwy ziemianin.

Są to jednak nie diaby, lecz zaledwie nosiciele bakcyli diabelskości, które wcieliły się w słabe dusze ludzkie, by zamienić je w martwe kukły, w mylące podobizny dusz. Prawdziwy diabeł, szatan, czyli diabeł w postaci pierwotnej, wygląda zgoła inaczej.

Kim więc właściwie jest? Nie, to nie ten, który siedzi w szczegółach lub ukrywa się pod postacią banalnego filistra i nie ten występujący w obliczu czarująco pięknej, lecz bezdusznej panienki – a takich pełno jest w utworach Gogola. To ten, którego na śmierć się wystraszyłem, gdy miałem sześć lat. Wtedy słysząc, jak bez przerwy klną wokół mnie dorośli, również zaczęłam kłąć: „do diabła”, „ki diabeł” itp. W końcu podszedł do mnie ojciec i zapytał: „A wiesz ty, co to jest ten diabeł?” – „Nie wiem.” – „No to ci pokażę”. Zapukał do sąsiadów (mieszkaliśmy w mieszkaniu sublokatorskim, moja rodzina wraz z trzema innymi), pożyczył od nich pewną pięknie ilustrowaną książkę – *Tatarskie baśnie ludowe*, otworzył i pokazał jedną z ilustracji... Tak się wystraszyłem, że uciekłem do pokoju obok, rzuciłem się na swoje łóżko i wcisnąłem głowę w poduszkę. Ojciec podszedł z książką: „Co jest z tobą?”. „Nie! – zakrzyczałem – nie podchodź! Ja się go boję!!!”.

Ilustracja przedstawiała *szajtana*, czyli tatarskiego szatana. Siedział w lesie na pniju, czarny, kudłaty, z długim ogonem, krzywymi rogami na głowie i kopytami na nogach. Zwierzę? Parafraza dionizyjskiego kozła? Sześcioletniemu chłopaczkowi nie przychodziło do głowy takie mądre wytłumaczenie. Zresztą miałem koronny argument, który nie pozwalał pomylić go ze zwierzęciem i właśnie to było najstraszniejsze: miał ludzką twarz!

---

<sup>2</sup> Cz. Miłosz, *Trzeźwe spojrzenie na Pasternaka* [w:] idem, *Rosja. Widzenia transoceaniczne*, t. 1: *Mosty napowietrzne, wybór i oprac. B. Toruńczyk, współpr. M. Wójciak, M. Nowak-Rogozniński, wstępem opatrzył M. Kornat*, Warszawa 2011, s. 255. Za dwa inne „zdarzenia mityczne” Miłosz uważa pojedynek Puszkina i ucieczkę Tolstoj z Jasnej Polany.

Złą, brzydką, straszną, ale ludzką, bo świadczyła o obecności myśli. Złowieszczej, okropnej, ale jednak myśli. Była na wskroś przepojona negatywnym sensem.

Kudłaty kozioł straszny nie jest. O wiele straszniejszy jest kudłaty człowiek z rogami i ogonem albo paskudne zwierzę, które myśli i mówi.

W opowiadaniu Iwana Turgieniewa zatytułowanym *Łąki bieżyńskie* jest pewna mrożąca krew w żyłach scena. Chłopak opowiada o tym, jak pewien pijany psiarczyk jechał w nocy koło miejsca, gdzie pochowano topielca, i zobaczył białego baranka na jego grobie. Wziął go psiarczyk ze sobą i pojechał dalej do majątku swego pana, trzymając go przed sobą na rękach. I tu nagle baranek spojrzał mu prosto w oczy – zrobiło mu się nieswojo. Zaczął on tego baranka po sierści głaskać i mówić do niego łagodnie: „Biasza, biasza!”. A baran nagle wyszczerzył zęby i też do niego przemówił: „Biasza, biasza!”. I to jest właśnie straszne, bo niesamowite, niezemskie, ale też nie niebiańskie. Pozostaje tylko jedna możliwość...

Diaboliczny Chlestałow mimo całej absurdalności sytuacji nie jest postacią groteskową. Jeszcze bardziej diaboliczny Cziczikow również nie, chociaż jego „kontrahenci” – Koroboczka, Nozdriow, Sobakiewicz, Pluszkin – są groteskowi, a jednocześnie bardzo swojscy, rosyjscy, „z tej ziemi”. Gogol zapewne pragnął, by jego czytelnicy wystraszyli się głębi ich upodlenia i upadku, ale niestety – nikt się ich nie boi, przynajmniej nikt z nas, Rosjan. Czego mamy się bać? Przecież to jest samo życie, nasze życie: tak było, tak jest i tak będzie, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości. Straszny jest nie człowiek przypominający, jak Sobakiewicz, „średniego rozmiaru niedźwiedzia”, lecz niedźwiedź, małpa lub baran z ludzką twarzą, ludzką mentalnością i ludzką niszczycielską agresją. To jest nie oświecicielsko-satyryczna, lecz prawdziwa, bo mityczna groteska.

Kiedy wystraszyłem się *szajtana*, babcia moja, chcąc mnie uspokoić, przekazała mi wiadomość bardzo istotną, a mianowicie: nie ma co się diabłów bać, bo u nas w ogóle ich nie ma. „Wszystkie diabły mieszkają daleko stąd, na Litwie lub na Ukrainie”. Po chwili namysłu postanowiła powołać się na niepodważalny autorytet wielkiego pisarza: „Poczytaj sobie Gogola. Tam, na jego Ukrainie, diabły są na każdym kroku. A tutaj nikt żadnego diabła nie widywał”.

Przyznam się, że ta wiadomość nie za bardzo mnie uspokoiła: przecież i Litwa, i Ukraina są nasze – ruskie, radzieckie. A najważniejszy był sam fakt realnego istnienia pewnej niezmiernie potwornej, a jednocześnie rozumnej istoty, która według wszystkich zasad zdrowego rozsądku nie miała prawa istnieć. Nieco później diabły zaczęły mi się śnić po nocy; budziłem się ogarnięty lękiem i długo nie mogłem zasnąć.

Gdy rok później zacząłem chodzić do szkoły, wpadła mi przypadkiem do rąk książka dla dzieci, której autor, niejaki Nikołaj Wierietiennikow, opowiadał o swoim dzieciństwie w Symbirsku i wspólnych zabawach ze swoim dalekim krewnym Włodzimierzem Uljanowem (późniejsza partyjna ksywka – Lenin). Okazało się, że chłopcy chętnie czytali na noc Gogola, przy czym wybierali najstraszniejsze opowiadania, oczywiście te mroczno-barokowe, ukraińskie, aby zahartować się i nabrać odwagi. Ktoś zaproponował przeczytać na głos *Zaczarowane miejsce*, ale zaraz został przegłosowany – czytamy *Wija!*...

Nie muszę chyba dodawać, że przysły towarzysz Lenin był odważniejszy od wszystkich i śmiał się z tych chłopaków, którzy mówili, że po takiej lekturze boją się zasnąć.

Jednakże Lenin mnie wcale nie interesował – interesował mnie ten Wij. Po długich poszukiwaniach wreszcie udało mi się zdobyć zacytane do dziur tomisko w którejś z bibliotek. Przeczytałem całą długą opowieść o tragicznym losie studenta Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, filozofa Chomy Bruta, który latał po niebie na grzbiecie przepięknej córki wojewody, tak naprawdę będącej wiedźmą, i który zginął rozszarpany przez diabłów. Wij był diabłem głównym i, rzecz jasna, okropnym potworem, ale nie jego najbardziej się wystraszyłem, lecz, powiedziałbym, nieklarownej, mętnej atmosfery tego dziwnego utworu. Nic właściwie z niego wtedy nie rozumiałem – to było ponad moje siły. A najstraszniejsze okazało się to, że chmury nad głową głównego bohatera to zgęszczały się, to pozornie rozjaśniały, aby znów jeszcze bardziej się zgęścić: i jakaś ciężka, nieuchronna, nieludzka duchota wciąż narastała w miarę przybliżania się do feralnego futoru – ogniska mocy diabelskich. Pomyślałem wtedy, że ten dziwny świat, w którym mogą mieszkać prawdziwe diabły, nie może być naszym jasnym i klarownym światem – jest w nim coś obcego, „nierosyjskiego”... Po latach okazało się, że w moim ówczesnym odczuciu byłem na właściwej drodze do prawdy, ale też mnóstwa rzeczy nie dostrzegałem, bo dostrzec nie mogłem. Zresztą wielu moich rodaków pozbawionych możliwości obserwacji ojczyzny z zewnątrz (jak Gogol z perspektywy ukraińskiej lub tenże Gogol patrzący na całą naszą Ruś „z pięknego oddala”, czyli z Włoch) do tej pory nie jest w stanie zrozumieć, że diabły i wiedźmy mieszkają nie tylko w dawnym zaborze polsko-litewskim...

Już po moim zapoznaniu się z *Wijem* ojciec opowiedział mi, jak w roku 1934 odpoczywał ze swoją mamą, a moją babcią na Ukrainie, w okolicach Kaniowa. Wieś nazywała się Prochoriwka. Było to zaraz po wielkim głodzie; chłopci opowiadali makabryczne historie o tym, że jeszcze całkiem niedawno niektórzy z rozpaczyny jedli ludzkie mięso. Na wysokim wzgórzu nad Dnieprem stała tam stara drewniana cerkiew, dawno opuszczona, zrujnowana, obrosnięta mchem. Miejscowi opowiadali, że sam Gogol niegdyś ją odwiedzał i że już wtedy nie odprawiano w niej mszy, bo zamieszkał w niej diabeł. A wtedy mistrz opisał w *Wiju* właśnie tę cerkiew. To tu ukazał się ten potwór i tu zginął Choma Brut. W opowiadaniu przecież czytamy: stara, opuszczona, mchem obrosnięta... Tamci ludzie w to wierzyli, mówił do mnie tatuś.

Nieraz potem zadawałem sobie pytanie: czy Gogolowski Wij był podobny do szajtana z tatarskiej baśni? Czy jest tak samo straszny?<sup>5</sup> Spróbujmy więc mu się przyjrzeć. Choma odprawia modły przy zmarłej córce wojewody, która za życia była wiedźmą. Dwie noce trumna z jej ciałem latała po wnętrzu nawy, a tymczasem moce piekielne próbowały zaatakować Chomę, ale nie mogły przekroczyć granic magicznego kręgu, który kredą nakreślił wokół siebie. I oto nastąpiła trzecia noc.

<sup>5</sup> Wiele lat później, gdy zaczęła mnie męczyć wyobraźnia geopolityczna, pojawiło się inne pytanie: z którego zaboru, tatarskiego czy litewskiego, pochodzi diabeł większy i niebezpieczniejszy? Rozpatrywałem również trzecią wersję: najstraszliwszy szatan pochodzi z rodzinnego chowu.

„Nagle... wśród ciszy... z łoskotem trzasnęło wieko trumny: podniosła się martwica. Była jeszcze straszniejsza niż pierwiej. Jej zęby kłapały raz wraz, wargi drgały kurczowo. Z dzikim skowytom jęła wyrzucać zaklęcia. Wicher zerwał się w cerkwi, popadały na ziemię obrazy, posypały się z góry na dół szyby. Drzwi wywarło z zawiasów i nieprzejrziała chmara straszyleł poczwarnych wpadła do świątyni Pańskiej. Przerząliwy szum ich skrzydeł i chrobotanie pazurów wypełniło cerkiew. Wszystko to unosiło się i latało, szukając filozofa.

Resztko chmielu wyparowała Chomie z głowy. Żegnał się tylko i odmawiał byle jak modlitwy. I słyszał, jak siła nieczysta miotała się dokoła niego, omal nie zaważając o niego końcami skrzydeł i ogonów obrzydliwych. Nie miał mocy, żeby się im przyjrzeć; widział tylko, że stał jakiś potwór olbrzymi na całą ścianę o kudłach splątanych i gęstych jak las; skroś gęszcz tych kudłów przezierało dwoje oczu spod brwi wzniesionych. Nad filozofem zwiśało coś niby pęcherz ogromny, wysuwający ze swego wnętrza tysiące kleszczów i żądeł skorpionowych, oblepionych grudkami czarnej ziemi. Wszystkie szkarady wypatrywały Chomę, szukały go i nie mogły go dojrzeć, jako że był otoczony kręgiem tajemnym.

– Gdzie jest Wij, przyprowadźcie Wija! – rozległy się słowa martwicy.

I zrobiła się raptem cisza w cerkwi; z dala doleciało wycie wilka, a po chwili dały się słyszeć w cerkwi ciężkie stąpania. Filozof spojrział spod oka i zobaczył, że prowadzą jakiegoś grubego niziołka kosonogiego, utyłanego w czarnej ziemi. Jego ręce i nogi, obmazane ziemią, podobne były do twardych, żółtawych korzeni. Stąpał ciężko, co chwila się potykając. Jego długie powieki spadały do samej ziemi. Choma zauważył w przerażeniu, że twarz ma żelazną. Prowadzono go pod ręce i postawiono wprost przed Chomą.

– Podnieście mi powieki, nie widzę, – ozwał się głosem jak spod ziemi Wij – i cała hurma rzuciła się, by mu podnosić powieki.

– Nie patrz! – szepnęły ostrzegawczo głos wewnętrzny filozofowi. Ale filozof nie wytrzymał – i spojrział.

– Oto on! – krzyknął Wij, wskazując na Chomę swym żelaznym palcem.

I wszystkie poczwary, ile ich było, rzuciły się na filozofa. Struchlały runął na ziemię i ze strachu wyzionął natychmiast ducha. Rozległo się pianie kogutów: były to już drugie kury – pierwszych nie dosłyszały straszyleł. Spłoszone poczęły się cisnąć jedno przez drugie do okien i drzwi, żeby jak najprędzej wylecieć. Ale już było poniewczasie: zostały tak, uwiązły w drzwiach i oknach.

Kapłan, który nadszedł, stanął w zgrozie na widok takiego zbezczeszczenia świątyni Pańskiej i nie odważył się odprawić żałobnego nabożeństwa. Tak też na wieki pozostała cerkiew, z uwikłanymi we drzwiach i oknach dziwotworami, zarosła lasem, burzanem, chaszczami, tarniną i nikt już nie znajdzie do niej drogi<sup>4</sup>.

„Wij to niezwykły twór fantazji gminnej. Nazwa ta wśród ludu ukraińskiego oznacza króla gnomów, który ma powieki do samej ziemi”<sup>5</sup>. Tyle sam Gogol. Dociekliwi badacze (między innymi Jacob Boehme) udowodnili, że istnieją jakieś niemieckie – ludowe, literackie, a nawet mistyczno-filozoficzne źródła postaci „grubego niziołka kosonogiego”

<sup>4</sup> M. Gogol, *Wybór pism*, tłum. J. Wyszomirski, Warszawa 1954, s. 158.

<sup>5</sup> Ibidem, s. 143.

o zwisających do ziemi powiekach<sup>6</sup>. Nie to jest w tym przypadku ważne. Istotniejsze wydaje się to, że zarówno sam Wij, jak i inne towarzyszące mu w owej fantasmagorycznej scenie straszdyła – „jakiś potwór olbrzymi na całą ścianę o kudłach splątanych i gęstych jak las” lub „coś niby pęcherz ogromny, wysuwający ze swego wnętrza tysiące kleszczy i żądź skorpionowych” są różnymi odmianami ciała groteskowego, o którym pisał Michał Bachtin<sup>7</sup>.

Czym jest groteska? Historyk kultury powie, że początkowo to nie była groteska – były to groteski – *i groteschi*, w *plurale tantum* – nowo odkryte malowidła pałacu Nerona w Rzymie, przedstawiające dziwaczne, aczkolwiek nie straszne, a raczej zabawne stwory. Znacznie później kategorię groteskowości rozszerzono na literaturę i nadano jej szereg znaczeń nawiązujących do satyrycznej, demaskatorskiej funkcji sztuki. Począwszy od XVII wieku groteskę coraz częściej kojarzono nie ze sprośną wesołością i radością życia, która promieniuje z każdej stronicy dzieła Rabelais’ego, lecz z raczej ponurymi obrazami różnego rodzaju śmiesznych, a jednocześnie przerażających okropieństw, których negatywne cechy zostały w świadomy sposób wyolbrzymione i doprowadzone do absurdu przekraczającego granicę prawdopodobieństwa i zamieniającego się w fantastykę. Lilipuci u Swifta prowadzą wojny z powodu niezgody co do tego, od której strony należy zaczynać spożywanie jajka. W jednej z bajek Sałtykowa-Szczedriny pojawia się naczelnik miasta, który ma zamiast mózgu organki bez przerwy grające tylko dwa romanse – „Nie będę tolerował!” i „Puszczę z wiatrem!”<sup>8</sup>. Są to motywy i obrazy groteskowe, ale jeżeli już wywołujące śmiech, to nie po prostu wesoły, lecz wesoły z przekąsem, zabarwiony gorzkim sarkazmem. W miarę rozwoju tendencji oświeceniowych i realistycznych taka groteska miała coraz mniej wspólnego z groteskowym ciałem Gargantui lub Pantagruela, nad czym tak bardzo ubolewał Bachtin, który zdecydowanie wołał archaiczną i spontaniczną ludowość.

Jak na tym tle wygląda Gogol?

Z jednej strony we wszystkich jego utworach, które nie bez podstawy uważamy za klasyczne, najbardziej Gogolowskie, znajdziemy groteskę realistyczną o ukrytym rodowodzie romantycznym, a nawet jeszcze wcześniejszym, oświeceniowym. Taki jest *Nos*, taki jest *Rewizor*, takie są *Martwe dusze*. Efekt groteskowy polega wtedy na udowodnieniu pewnego faktu, niepodważalnego z punktu widzenia wewnętrznej logiki utworu, a mianowicie: postacie i wydarzenia zupełnie nieprawdopodobne w rzeczywistości okazują się zupełnie realne, na zasadzie „rzadko, ale bywa” lub też: „u nas wszystko jest możliwe”. *Nos* niby nie może uciec od właściciela i spacerować ulicami Petersburga w generalskim mundurze, ale, jak stwierdza narrator w finale noweli, „a jednak,

<sup>6</sup> Zob. np.: М. Вайскопф, *Сюжет Гоголя: Морфология. Идеология. Контекст*, Москва 1993, s. 155–160. Istnieje również całkiem wiarygodna interpretacja ukraińskiego badacza Wołodymira Zwiniackowskiego, według której prototypem Wija był chochlik Rzęsicznik (Ресничник), bohater folkloru ukraińskiego, o długich, zwisających do ziemi rzęsach – zob. В. Звиняцковский, *Вий – начальник гномов, или Мог ли Гоголь обойтись без Украины?*, „Радуга” 2009, nr 2, s. 131–138.

<sup>7</sup> Zob.: М. Bachtin, *Twórczość Franciszka Rabelais’go a ludowa kultura średniowiecza i renesansu*, tłum. A. i A. Goreniewie, oprac., wstęp i weryfikacja przekładu S. Balbus, Kraków 1975, s. 78–92.

<sup>8</sup> W oryginale: „Не потерплю!” i „Раззорю!”.

mimo wszystko (...) podobne wypadki bywają na świecie; rzadko, ale bywają”<sup>9</sup>. Wyżej wymienione „u nas” czasami oznacza Rosję, i wtedy mamy do czynienia z satyrą społeczną lub ukrytym oskarżeniem całej cywilizacji rosyjskiej przez pisarza znajdującego się nieco na zewnątrz – Ukraińca, południowca nieobeznanego z obyczajem mongolskim. Innym razem oznacza to jednak całą ludzkość, zmierzającą, zdaniem Gogola, w stronę bezduśności, miałkości i pragmatyzmu, czyli odchodzącą od Chrystusa ku ucieście Szatana<sup>10</sup>.

Z drugiej zaś strony istnieje inny Gogol – ten wczesny, ukraiński, bardziej żywiołowy i cielesny, taki, który podoba się Bachtinowi, ponieważ nie próbuje odgrywać niepasujących doń ról socjologa-analityka lub wieszcz-moralisty, natomiast odświeża istotę owej „ludowej” wesołości, a więc nie śmiechu zredukowanego do satyry, lecz śmiechu jako wyrazu czystej radości życia.

„Gogol znał doskonale ludowo-święteczne i jarmarczne życie Ukrainy – stwierdza Bachtin. – Stało się ono czynnikiem organizującym większość opowiadań zbioru *Wieczory na futorze koła Dikańki – Jarmark w Soroczyczach, Noc majowa, Noc wigilijna, Noc świętojańska*. Tematyka samego święta i swobodny, radosny święteczny nastrój określają fabułę, obrazy i tonację tych opowiadań. Święto, związane z nim wierzenia, szczególnie atmosfera swawoli i wesołości zmieniają zwykły bieg życia, sprawiają, że niemożliwe staje się możliwe (w tym zawieranie niemożliwych przedtem małżeństw). Zarówno w wymienionych czysto świętecznych opowiadaniach, jak i w innych istotną rolę odgrywają wesołe konszachty z diabłem, głęboko pokrewne pod względem charakteru, tonu i funkcji wesołom karnawałowym wizjom piekła i diablerium”<sup>11</sup>.

Jedzenie, picie i kontakty seksualne mają w tych opowiadaniach święteczny, karnawałowo-zapustny charakter. Podkreślmy nadto ogromną rolę przebijania się i mistyfikacji wszelkiego rodzaju, a także pobić i degradacji. Wreszcie śmiech gogolowski jest w tych opowiadaniach czystym śmiechem ludowo-świętecznym. Jest to śmiech ambiwalentny i żywiołowo materialistyczny<sup>12</sup>.

Filozofowi karnawału z pewnego rodzaju względów historycznych zależało na szczególnym podkreśleniu tej wesołej strony groteskowości wczesnego Gogola. Dlatego

<sup>9</sup> M. Gogol, *Wybór pism...*, tłum. J. Tuwim, op. cit., s. 209. Jak stwierdza wybitny rosyjski badacz twórczości Gogola, Jurij Mann, kontrast pomiędzy logiką zdrowego rozsądku a logiką rzeczywistości, która wcale nie musi być rozsądną, a bywa niesamowita lub „chora”, stanowi sedno groteski realistycznej (Ю.В. Манн, *О гротеске в литературе*, „Советский Писатель”, Москва 1966).

<sup>10</sup> Podobno niedługo przed śmiercią Gogol wypowiedział znamienne słowa: „Bądźcie duszami żywymi, nie duszami martwymi. Nie ma innych drzwi do Królestwa Niebieskiego prócz wskazanych przez Jezusa Chrystusa. Ten, który pragnie wejść inaczej, jest jedynie kłamcą. Jeśli nie staniecie się jak dzieci, nie wejściecie do Królestwa Niebieskiego. Miej litość nade mną Panie! Zwiąż raz jeszcze Szatana tajemniczą mocą wiary!...”. Cyt. za: P. Evdokimov, *Gogol i Dostojewski, czyli zstąpienie do otchłani*, tłum. A. Kunek, wstęp H. Paprocki, Bydgoszcz 2002, s. 190.

<sup>11</sup> Zwróćmy uwagę na zupełnie karnawałowy obraz gry w durnia w piekle (opowiadanie *Zaginione pismo*) – przypis M. Bachtina [W.S.].

<sup>12</sup> M. Bachtin, *Rabelais i Gogol (Sztuka słowa i ludowa kultura śmiechu)* [w:] idem, *Problemy literatury i estetyki*, tłum. W. Grajewski, Warszawa 1982, s. 583–584. Rozstrzelenie M. Bachtina – [W.S.]. Na dowód tych stwierdzeń autor wskazuje na takie motywy Gogola, jak: obrazy biesiadne, obrazy tańczącej śmierci, wesołego bohaterstwa, saturnaliów, karnawałowej wędrówki po piekle itp. Ibidem, s. 584–589.



w eseju, z którego pochodzi przytoczony fragment, nie ma ani słowa o *Wiju* lub *Strasznej zemście* – utworach zgoła nie wesołych, lecz jednoznacznie strasznych i wcale nie mniej archaicznych i „ludowych” niż te wymienione przez Bachtina. Jednakże mój sen o rybach-potworach i diabelskiej minie, od którego zacząłem niniejszy artykuł, nawiązywał akurat i do Gogola strasznego, i do groteski innego rodzaju niż realistyczna czy „ludowo-świąteczna” – do groteski strasznej.

Bachtin pozostaje niedoścignionym geniuszem, jeżeli chodzi o świat karnawału i groteski karnawałowej – ambiwalentnej, śmieszno-strasznej, jak wesoły pogrzeb lub brzemienna śmierć. Nie przypadkiem jednak chętnie pisze o Rabelais’u lub Szekspirze i pomija milczeniem to, czym szczególnie pasjonował się Gogol – makabryczny świat ludowych baśni niemieckich, Homunkulusa, Paskuna, różnego rodzaju krwiożerczych czarodziejów, mechaniczne kukły i zupy, w której pływają wydłubane oczy filozofa. Innymi słowy pociągający świat fantazji Hoffmanna i Jeana Paula z całą jego grozą, świat przypominający o tym, co zdecydowanie odrzucał Bachtin – o czarnej otchłani zwierzęco-ludzkiego Id, o nocnej, infernalnej stronie natury, której nie wymyślili przecież romantycy z Jany. Aby opisać ten świat, ludzie potrzebowali nie śmiechu, lecz właśnie groteski strasznej, makabrycznej: wszystkie obecne w nim „dziwotwory” miały być na tyle odrażające, by wywoływać w nas przerażliwy, zwierzęcy lęk. Wprawdzie – i to jest sytuacja iście gogolowska – śmiech znajduje się tuż obok, niedaleko, od czasu do czasu próbując przewrócić potworną otchłań tego piekła (naszego Id, a z nim to wszystko, czego się lękamy) do góry nogami. Wielowiekowa tradycja ludowa przekonuje nas, że z diabła można się śmiać, a tym samym przynajmniej częściowo go ośwoić. Z Gogolem jednak nie wszystko jest takie proste. Lubimy Gogola wesołego; podoba się nam także śmieszny (bo głupszy i słabszy od człowieka) czart z *Nocy wigilijnej*, który posłusznie niesie kowala Wakulę do Petersburga po *czerewiczki* (buciki) dla jego ukochanej Oksany.

Mój sen o Gogolu nawiązywał natomiast wyłącznie do Gogola „ciemnego” – przepastnego i przerażającego. Na przykład tego z *Nocy świętojańskiej*:

„Podszedł do trzech pagórków; gdzież tu kwiaty? Nic nie widać! Dzikie burzany czernieją dokoła i zagłuszają wszystko swoją gęstwiną. Ale oto błysnęła letnia błyskawica, a przed nim ukazała się grzęda kwiatów cudnych i nieznanych; obok zobaczył zwykłe liście paproci. Piotr zafrasował się, stanął w zamyśleniu i ujął się obydwojema rękami w boki. »Cóż tu osobliwego? Dziesięć razy dziennie widuje to zielsko; niby co tu dziwnego? Czy aby ten diabelski ryj nie chce zakpić sobie ze mnie?«. Patrzy, aż tu czerwienieje malutki pączek kwiatowy i porusza się jak żywy. Rzeczywiście, coś dziwnego! Rusza się, rośnie i coraz bardziej czerwienieje jak płonący węgiel. Błysnęła iskierka, coś zatrzeszczało cicho i kwiat rozwinął się w jego oczach niby płomień, oświetlając inne dokoła siebie. »Teraz czas!« – pomyślał Piotr i wyciągnął rękę. Jednocześnie spoza jego pleców setki kosmatych rąk wyciągnęły się do kwiatka, a z tyłu za nim coś przebiegło z miejsca na miejsce. Zamknąwszy oczy, szarpnął za łożysko i kwiat pozostał w jego ręku. Wszystko naraz ucichło. Zobaczył na pniu Basawriuka sinego jak nieboszczyk. Żeby choć palcem ruszył. Oczy wpatrzone uporczywie w coś, co tylko jemu było widoczne; usta na pół rozwarłe. Dokoła wszystko ani drgnie. Strach obleciał Piotra!...”<sup>13</sup>.

<sup>13</sup> M. Gogol, *Wybór pism...*, tłum. J. Brzęczkowski, s. 55.

Im dalej, tym straszniej. Baba Jaga każe kopać w tym miejscu, dokąd poleciał rzucony przez nią kwiat paproci; Piotr rzeczywiście trafia na „niewielki, okuty żelazem kuferek”, ale nie mógł po niego sięgnąć ręką, bo kuferek począł zagłębiać się w ziemię. Aby zostać posiadaczem złota z tego kufra, należało zdobyć ludzką krew. Wiedźma prowadziła do niego sześćioletnie dziecko – Iwasia, brata jego ukochanej Pidorki:

„Przed nim stał Iwas. Rączki złożył na krzyż; główkę zwiesił... Piotr jak oszalały rzucił się z nożem do wiedźmy i już podniósł rękę... »A coś mi obiecał za dziewczynę?« – ryknął Basawriuk i jakby mu kulę wpakował w grzbiet. Wiedźma tupnęła nogą: błękitny płomień buchnął z ziemi; jej wnętrze, niby odlane z kryształu, zajaśniało światłem na wskroś i wszystko, co się pod nią znajdowało, stało się widoczne jak na dłoni. Czerwońce, drogie kamienie w kufrach, w kottach, stosami leżały pod tym samym miejscem, gdzie stali. Oczy mu zapłonęły... rozum się zmącił... Jak szalony porwał za nóż i niewinna krew trysnęła mu w oczy... Diabelski chichot zagrzmiął ze wszystkich stron. Jakieś ohydne potwory stadami zaczęły gnać przed nim, wiedźma wpiła się rękami w pozbawione głowy zwłoki i jak wilk chleptała z nich krew. Piotra całkiem zamroczyło! Zebrawszy resztki sił rzucił się do ucieczki. Wszystko dokoła stało się purpurowe. Drzewa, całe we krwi, zdawały się płonąć z językiem. Rozjarzone niebo drżało... Ogniste plamy jak błyskawice tyskały mu w oczy. Bez tchu dopadł swej chaty i jak snop zwałił się na ziemię. Zmorzył go kamienny sen”<sup>14</sup>.

Co z tych fragmentów nadawałoby się do straszego snu? Najważniejsze – materia, formy, żywioły. Dzikie burzany, ogień (błyskawice, „błękitny płomień”), sierść na diabelskich łapach, żelazo, krew, kamienie, ludzko-zwierzęce pyski... Stare jak świat motywy, które zawsze wywoływały lęk – złoto za niewinną krew, upiory... oraz połączenia tych żywiołów i form: krwawe (płonące?) niebo, płonące rośliny, ogień buchający z głębin ziemi... Piekło...

To wszystko jednak stanowi otoczenie diabła. Są to różnorodne przejawy diabelskości, jej tło, infernalna przestrzeń. A jaka jest sama natura Gogolowskiego diabła, skąd on pochodzi, gdzie są jego korzenie? Czyżby to naprawdę był upadły anioł, który ongiś mieszkał w niebie, ale później wznicił bunt przeciw Bogu? Albo inaczej – czyżby to był człowiek wczesnego neolitu, który śmiał oderwać się od matki-natury i zaczął żyć własnym życiem?

Prawdopodobnie tak właśnie było w historii – ale nie w świecie Gogola. Nie z nieba pochodzą jego straszne groteskowe postacie. Przyjrzymy się takiemu oto obrazowi:

„Czółno zawróciło i trzymało się teraz lesistego brzegu. A na brzegu widać było cmentarz: zbutwiałe krzyże stłoczyły się w gromadę. Ani kalina pośród nich nie rośnie, ani trawa nie zielenieje, tylko miesiąc je grzeje z niebieskiej wyżyny.

– Słyszycie krzyki, mołojcy? Ktoś nas wzywa na pomoc! – rzekł pan Danyło, zwracając się do swych wiosłarzy.

– Słyszemy krzyki, i to ponoć stamtąd – razem odparli mołojcy, wskazując na cmentarz. Ale wszystko ucichło. Łódka zawróciła, aby optynąć wystający cypel. Nagle wiosłarze puścili wiosła i nieruchomo wytrzeszczyli oczy. Zastygł i pan Danyło; chłód i lęk przeniknął Kozaków do szpiku

<sup>14</sup> Ibidem, s. 56.

kości. Krzyż na mogile zachwiał się i cicho powstał z niej wyschnięty trup. Broda po pas; u palców długie szpony, jeszcze dłuższe od samych palców. Cicho wzniosł ręce do góry. Cała twarz zadrgała i wykrzywiła się. Okropną widać cierpieć katuszę. »Duszno mi, duszno!« – jęknął dzikim, nieludzkim głosem. Głos jego jak nóż drapał po sercu i trup nagle zapadł się pod ziemię. Zachwiał się drugi krzyż, i znowu powstał trup, jeszcze straszliwszy, jeszcze wyższy od pierwszego; cały zarośnięty; broda po kolana, a kościste szpony jeszcze dłuższe. Jeszcze upiorniej zawył: »Duszno mi!« – i zapadł się pod ziemię. Zachwiał się trzeci krzyż, wstał trzeci nieboszczyk. Rzekłbyś, same tylko kości uniosły się wysoko nad grobem. Broda aż do pięt; palce o długich szponach wbiły się w ziemię. Strasznie wyciągnął ramiona do góry, jakby chciał dosięgnąć księżycy, i zakrzyczał tak, jakby kto chciał pićować jego poźółkłe kości...<sup>15</sup>

To *Straszna zemsta*. Powstające z grobów nieboszczyki to nie diabły, lecz trupy czaro-dziejów. Na taki los skazał Pan Bóg wszystkich potomków Piotra – bratobójcy, który złamał odwieczne zasady moralności rodowej w imię interesów jednostki ludzkiej, budzącej się spod patriarchalnego snu; to czyn wielce przypominający bunt Lucyfera lub spożycie owoców z drzewa poznania dobra i zła. Ale cóż z tego, że te trupy chciałyby dosięgnąć księżycy (nie słońca!), skoro muszą wrócić do grobu, do mroków podziemia, skąd próbują powstać i skąd tak naprawdę w świecie Gogola pochodzą?

Wróćmy do *Wija*. Ten „kosonogi niziołek”, ten „król gnomów” miał palce z żelaza i żelazną twarz, ale był cały „utyłtany w czarnej ziemi”; jego „ręce i nogi, obmazane ziemią, podobne były do twardych, żółtawych korzeni”. Jeszcze bardziej przerażające istoty diabelskie – „potwór olbrzymi na całą ścianę o kudłach splątanych i gęstych jak las” oraz „coś niby pęcherz ogromny, wysuwający ze swego wnętrza tysiące kleszczów i żudeł skorpionowych” – były tak samo oblepione grudkami czarnej ziemi. Nie ogień piekielny, nie metal, lecz ziemia okazała się tym żywiołem, z którego powstał i w którym zwykł na co dzień przebywać. Jest istotą chłoniczną – archetypowym potworem w rodzaju smoka. Dokładniej – pochodzi spod ziemi – z tej niepojętej otchłani, która znajduje się pod naszą wspólną glebą matczyną, a więc łonem rodzącym istoty nie żelazne, lecz żywe. Indoeuropejczyk nie wierzył w to, że stworzył go Pan Bóg z kawałka gliny – w legendach przekazywanych z ust do ust przez pokolenia przodków Germanów, Słowian i Bałtów pierwszy człowiek wyrósł z ziemi jak drzewo. „Мать сыра земля” – dosłownie „matka surowa (wilgotna) ziemia” jest wspólną praojczyzną wszystkiego, co żywe – roślin, zwierząt, ludzi. Diabły rodzą się poniżej tej żywej warstwy, w świecie plazmy, ognia i metalu, pozbawionym sensu, który nigdy nie może być przez nas uświadomiony. I właśnie to nas najbardziej straszy.

Walerij Mildon, współczesny badacz rosyjski, wysunął interesującą hipotezę, zakładającą, iż w świecie Gogola istnieje pewna siła, która okazuje się potężniejsza zarówno od człowieczeństwa (oznaczającego, według myśli pisarza, samoświadomość jednostki w połączeniu z miłosierdziem), jak i diabelskości (czyli nijakości i bezduszności, braku charakteru i cech osobistych). Ta siła jest niczym innym niż ziemią – żyzną czarną otchłanią najpierw rodzącą, a następnie pożerającą własne owoce i własne dzieci<sup>16</sup>.

<sup>15</sup> Ibidem, tłum. Cz. Jastrzębiec Kozłowski, s. 99–100.

<sup>16</sup> В. И. Мильдон, *Эстетика Гоголя*, Издательство ВГИК, Москва 1998, с. 51–54.

Są to i gruszki, i arbuzy, i wszyscy ludzie nieuchronnie kończący żywot w grobie, a nawet pozbawione ciała nieczyste duchy. Powiem więcej: głęboko pesymistyczny i, w istocie, pogański światopogląd Gogola (mimo jego ciągłych i powtarzanych jak mantra zapewnień o wierności ideałom chrześcijańskim) zakłada, iż mroczne podziemie jest mocniejsze od samego Pana Boga. W *Nocy świętojańskiej* wiedźma i diabeł boją się sami zrywać kwiat paproci; w *Nocy wigilijnej* zaś te same piekielne istoty boją się wlażyć do wora, ponieważ wstępowanie do ciemności jest dla nich czynem podobnym do wstępowania do otchłani piekielnej, w której diabłom wcale się nie podoba – zdecydowanie wolą węszać się po ziemi bądź latać po niebie. Wszechpotężny Wij cały jest oblepiony czarną ziemią, która ciąży na nim, przeszkadza działać, ciągnie na dół jego zwisające powieki – bo ziemia, do której wszyscy wrócimy, okazuje się silniejsza nawet od Wija. Umrą wszyscy ludzie, ale umrą też i wszyscy diabli. Nawet krwiożerca czarodziej w *Strasznej zemście* lub panienka-wiedźma w *Wiju* w końcu muszą umrzeć i zostać połknięci przez nieubłagłą czarną ziemię.

Logika autora tych dzieł musi w końcu doprowadzić do nieuchronnego wniosku: Pan Bóg również umrze i również wróci do ziemi, z której powstał, jak wszystko, co istnieje. Gogol, rzecz jasna, natychmiast zaprzeczyłby takiej interpretacji jego twórczości, ale mimo to wydaje się ona uzasadniona, bo żywy duch i dusza żywa powstają z martwej nieorganicznej materii mocy chthonicznych, infernalnych – z ognia, kamienia, gliny, metalu. Oto dlaczego Wij ma żelazne ręce i żelazną twarz. W tym Gogolowskim, w istocie materialistycznym świecie (nie przypadkiem pisarz panicznie bał się materializmu) dusza żywa i dusza martwa są ambiwalentne wobec siebie: ta druga potrafi ożyć i personifikować się, by później zamienić się w proch.

Ale przecież ziemia i istniejące w niej otwory – doły, jamy, pieczary i groby od zarania wieków były postrzegane jako symbole głównego archetypu kobiecości, Magna Mater. W otworach tych archaiczna świadomość upatrywała metafory rodzącego łona matki oraz jej waginy, z której pojawiły się wszystkie żywe istoty i do której wszystkie one wcześniej czy później wrócą<sup>17</sup>. Ziemia i kobieta-matka w tym wypadku symbolizują wszechpotęgę materii, w porównaniu z którą nawet Bóg tworzący nowe światy i nowe jakości staje się bezsilny. Bóg-Stwórca, Bóg-Demiurg, ostatnia nadzieja Gogola w jego z góry skazanej na porażkę walce z tak naprawdę uwielbianą przez niego ziemską materią to fantastyczne wcielenie dumnego ducha mężczyzny, świadomego męskiego działania, skierowanego ku jasnemu celowi. Gogol o tym wiedział – ostatnie słowo zawsze będzie należeć do kobiety.

Co to wszystko ma wspólnego z moim snem o diabelskim pysku i o Gogolowskiej podpowiedzi?

Pozwolę sobie przypomnieć końcowy fragment ostatniego zdania *Nocy wigilijnej*:

„(...) z boku, na ścianie, tuż przy wejściu do cerkwi, Wakuła namalował tak obrzydliwego diabła w piekle, że wszyscy przechodząc, spluwali, a baby, gdy tylko dzieciak zaczynał im płakać na rękę,

<sup>17</sup> Zob. F. Altheim, *Terra mater*, Giessen 1931, s. 33–35; E.M. Мелетинский, *Поэтика мифа*, „Наука”, Moskwa 1976, s. 207–211, 249–251.

podnosiły go do góry i wskazując na obraz mówiły: – Zobacz, jakie tu *bla* namalowane! – dziecię zaś powstrzymując łezki, spoglądało spod oka na obraz i tuliło się do matczynej piersi<sup>18</sup>.

Tak oto poważna i straszna groteska sprawa, że kapryśne dziecko się uspokaja. Do tego jednak potrzebna jest owa matczyzna pierś. To ona chroni bezbronną ludzką istotę przed diabłem i przed każdą inną złą mocą, bo życiodajna kobieta jawi się jako życiodajna ziemia. Wszyscy wyszliśmy z jej łona i wszyscy do niego kiedyś wrócimy, aby uspokoić się na wieki.

A jeśli matki zabraknie? Jeżeli jej pierś nie zagrzeje naszych oczu i ust w momencie, gdy ojciec będzie straszyć nas *szajtanem*? Albo gdy z góry wiemy, że nasza mama czymś gorszym od diabła nas wystraszy, bo byliśmy niegrzeczni, a później nie przytuli, nie obro- ni, bo takie postępowanie jest niepedagogiczne?

W takim wypadku istnieją dwa wyjścia. Pierwsze to ucieczka w samobójstwo albo w obłąd. Tak postąpił biedny Poprisczyn, bohater *Pamiętnika wariata*, który kończy swoją spowiedź słowami:

„Matko, ratuj swego biednego syna! Uroń łzę na jego chorą głowę! Spójrz, jak oni go męczą! Przytul do piersi swego biednego sierotkę! Nie ma dla niego miejsca na świecie! Pędzą go precz! Matko, uzał się nad swym chorym dzieckiem!...”<sup>19</sup>.

Drugie to bunt przeciwko rodzicom i wychowawcom, a w szczególności przeciwko czarnemu łonu matki, któremu nie towarzyszy zbawcza matczyzna pierś, taka ładna, ciepła i biała. O tym właśnie opowiadał mój sen. W podobnych sytuacjach sami zamieniamy się w groteskowego diabła i kto jak nie Gogol, najlepszy znawca tych kosmatych, zębatych i rogatych pysków, może nam w tym pomóc, jak pomógł bohaterowi *Płaszcz* zamienić się po śmierci w złowieszcze widmo, które straszy przechodniów na ulicach skutego mrozem nocnego Petersburga.



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Złodziej snów*, Olsztyn 2004

<sup>18</sup> M. Gogol, *Wybór pism...*, tłum. J. Brzęczkowski, op. cit., s. 97. Kursywa M. Gogola [W.S.]. Słowa matki do dziecka o wiele barwniej brzmią w oryginale – nie po rosyjsku, lecz po ukraińsku: „Он бачь, яка кака на- малёвана!”.

<sup>19</sup> Ibidem, tłum. J. Wyszomirski, s. 262.



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Herakles niezwykły*, Teatr Baj, Warszawa 2002 (Posejdon)